

Wstęp

Kiedy usłyszałem od Krzysztofa Grzelczyka, że napisał książkę „Alfabet prawie wrocławski”, zastanawiałem się czy jego praca będzie w stanie dorównać innym znanym „Alfabetom”: „Abecadłu Kisiela” oraz „Alfabetowi Urbana”. Obydwaj znani z ciętego pióra i sprawnego warsztatu pisarskiego autorzy są dla mnie niejako punktem odniesienia dla tego typu gatunku literackiego.

Jednakże zarówno Urban, jak i Kisiel, pisząc swoje książki, posiadali pewną przewagę nad Grzelczykiem. W przeciwieństwie do autora tej książki byli już emerytowanymi politykami. Na emeryturę wysłała ich historia. Przed Grzelczykiem historia jeszcze jest otwarta. Obecnie jest on szeregowym, acz rozpoznawalnym politykiem. Jego partia po długim, ośmioletnim marszu walczy dziś, by sięgnąć po władzę. Mimo trwającej obecnie ostrej, wręcz burzliwej kampanii wyborczej, książki tej jednak nie traktuję jako działalności politycznej. Współczesne kampanie są brutalne, zbyt dalekie od eleganckich porównań lub „fraszko-podobnych” zdań zawartych w tej książce.

Zastosowany przez autora porządek alfabetyczny oddala pracę od struktury linearnej pamiętnika. Dzięki temu zabiegowi, czytając, podążamy śladem eseistycznych dywagacji. Wybrane tematy traktowane są z dystansu.

Autora znam jeszcze z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Działaliśmy wtedy razem w Studenckim Komitecie Solidarności - formacji przeciwstawiającej się porządkowi komunistycznemu. Wiele hasel z jego „Alfabetu” przywołuje mi tamte czasy. Pamiętam dobrze, jak Grzelczyk był prześladowany. Cierpienie spotkało go nie tyle ze strony tajnej policji politycznej, ile ze strony naszej, z rąk niektórych naszych towarzyszy, którzy wmontowali go w monstrualną intrygę spiskową. W „Alfabcie” nie czuje się jednak rewanzu personalnego, mimo że autor miałby ku temu wiele powodów.

Wytworzoną tu przestrzeń literacką można porównać do gry przeróżnych luster: luster zwykłych, krzywych zwierciadeł oraz luster weneckich. W nich to odbijają się wspomnienia w różnych ujęciach. Przez moment widzimy daną postać w prostym odbiciu, zaraz potem pojawia się w krzywym zwierciadle. W obrazie zauważa się różne perspektywy. Są tu elementy fraszki, jest ironia i subtelna karykatura, bez jednolitej reguły proporcji. Istotny jest temat. Pejzaż ukazywany w „Alfabcie” wydaje mi się najbliższy temu, co Dante upatruje w obrazie Czyśca w „Boskiej Komedii”. Ludzie, zdarzenia, krajobrazy, państwa, wszystko co napotykamy w tej książce, przypomina wędrówkę autora po Czyścu. Autor wędruje po tej krainie niczym Ronin, „wolny rycerz, samotny wojownik”. W swej wędrówce po „emigracji” mija obce kraje i kontynenty jak Ameryka. Zatrzymuje się przy przywarach ducha, takich jak „Pycha”. Wśród hasel odnajdujemy też „Fajerwerki”. W książce wspomina ludzi ważnych, nierzadko wybitnych, jak profesor Brzeziński, jeden z głównych architektów polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych w czasach prezydentury Cartera. Grzelczyk jest jego przewodnikiem po Dolnym Śląsku. Znajdujemy tu również docenionych przez niego przeciwników politycznych, jak Grzegorz Schetyna oraz podziwiane przez niego postacie z jego własnej formacji, jak dziś sięgający po władzę Jarosław Kaczyński. Jest tu też wiele innych, mniej znanych, lecz istotnych dla autora postaci ze środowisk opozycyjnych, artystycznych, naukowych, ze szczególną emfazą na środowiska wrocławskie i dolnośląskie.

Dzięki unikaniu w opisie skrajności, nie ma tu patosu ani brutalnej degradacji. Postacie są widziane z dystansu i wieloaspektowo. Naturalnie, autor nie kryje przy tym swoich konserwatywnych poglądów. Dla mnie najbardziej wzruszającym fragmentem książki, otwierającym wrota nie do salonu, lecz do wieczności, jest krótkie wspomnienie o niedawno zmarłym działaczu związkowym. Człowiek ten, siedząc w więzieniu podczas stanu wojennego, z obawy przed akcją propagandową ze strony tajnych służb, postanowił oddać swoje życie. Dokonał takiego wyboru, by uniemożliwić reżimowi i jego tajnej policji manipulację, nie po to, żeby uciec od cierpienia, lecz po to, by bronić ważnej sprawy. Wspomnienie o tym szlachetnym człowieku utkwilo mi nie tyle w głowie, ile w sercu. Przypomniało postacie literackie z powieści F. Dostojewskiego. Takie pokazanie skromności materialnej przy jednoczesnym bogactwie duchowym jest dziś rzadkim zjawiskiem w literaturze. Uważam, że książkę warto przeczytać.